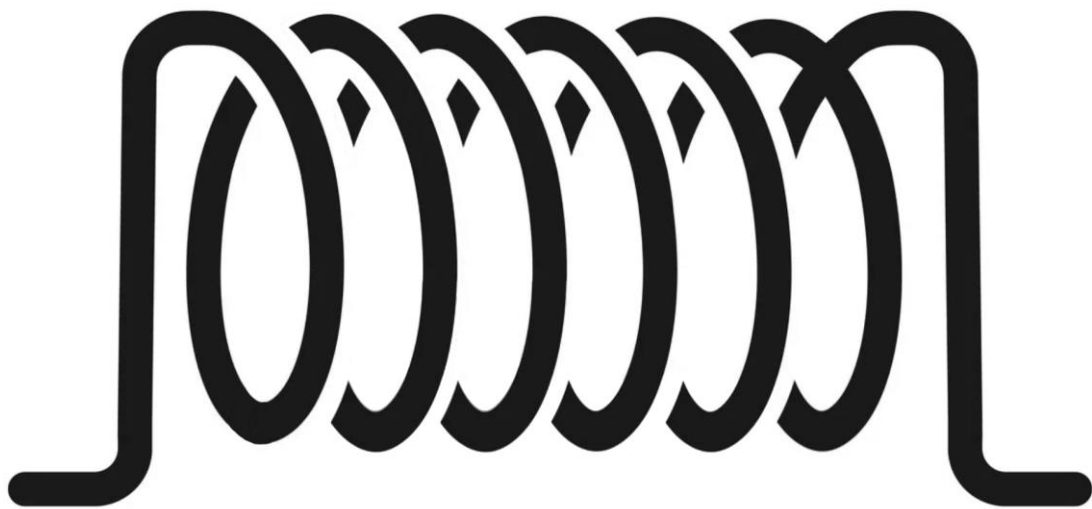


Jarosław Księżyk



WIADRA Z WĘGLEM

Seria: INDUKCJA

WWW.JAROSLAWKSIEZYK.PL

JEDEN

Wczesny poranek, szaruga. Mgła snująca się po polu ćwiczebnym, otulająca koszarowe budynki bazy straży granicznej, gdzieś na wschodniej granicy, pewnie z Ukrainą.

Mężczyzna w ciemnozielonej kurtce z orzełkiem na piersi idzie wzdłuż wysokiego na dwa metry muru. W rękę trzyma pręt, którym uderza w nasadę drugiej dłoni. Pogwizduje. W pewnym momencie wchodzi w błotnistą alejkę między klatkami. Towarzyszy mu pierwsze warczenie.

- Wstawać, żarcie czeka! – krzyczy, a para bucha mu z ust.

Krzyczy i wali prętem w kraty, to z jednej, to z drugiej strony.

Psy budzą się, szczekają, ujadają.

Mężczyzna śmieje się.

- Wstawać, do roboty, trzeba zarobić na miche, głupie pchlarze.

Wygrywa na kratkach różne melodie. Zwierzęta szczerzą zęby, lecz cofają się pod jego wzrokiem. Mija kolejne klatki, aż w pewnym momencie schyla się do jednej z nich.

- Romuś? No co ty, kurwa, znowu? – mówi szorstko, a następnie uderza w okratowanie.

W klatce poruszenie. Jakaś czarna, oszroniona bryła obraca się w kierunku strażnika. Ma zupełnie ludzką, choć czerwoną twarz. Ma ciepłą czapkę, nasuniętą na potężny łuk brwiowy. Na gęstą, siwo-czarną brodę. I oczy pełne niepokoju. Za nią, przy tylnej ścianie, leży skulona, posiwiata suka owczarka niemieckiego. Leży przyciśnięta do betonu i piszczy.

Strażnik zdejmuje rygiel.

- Wyłaż Romek, do cholery! Przecież nie możesz ciągle z nimi spać, do kurwy nędzy!

Roman wychodzi ostrożnie, równie wolno wyprostowuje się i staje przed strażnikiem, górując nad nim o głowę, przewyższając go zasięgiem ramion, szerokością klatki piersiowej, czystą, biologiczną siłą.

- Zostawcie ją w spokoju – prosi ochryplym, rozchwianym głosem.

Akompaniują mu zwierzęta, coraz głośniejsze, szczekające złowrogo, szarpiące klatki.

- (śmiech) A ty znowu swoje. Won do dyrektora. Masz u niego być zaraz po śniadanku. Tylko trochę się oporządź, bo z rozpędu i ciebie wywiozą do uśpienia, a nie tylko tę twoją sukę. Wyglądasz jak gówno.

Roman spuszcza wzrok i patrzy na swoje umorusane ręce, na poplamioną kurtkę. Nie czuje swojego zapachu.

- Obiecuj mi, że ją zostawisz – cedzi słowa.

- Ależ oczywiście, że nie! Z jakiej racji? Rozkaz jest rozkaz!

Roman robi pół kroku do przodu i już ma chwycić za pręt, gdy strażnik popycha go z całej siły, przewracając w błoto.

- Do dyrektora, świrze!

Psy ujadają i rzucają się w klatkach.



Jakiś czas później człowiek niedźwiedź, barczysta postać o wielkich dłoniach i małych, cofniętych oczach, staje przed dyrektorem.

- Panie Romanie – mówi zza biurka korpulentna postać w okularach. – Niech pan usiądź... albo lepiej nie. – Patrzy na podwładnego z obrzydzeniem. – Mógł się pan wymyć, przebrać, tu jest zakład pracy! A pan paraduje, jak menel. Zresztą, o to właśnie chodzi. To co pan tu robi, pana wygląd, pana prowadzenie się. To jest niedopuszczalne. Kto to widział, spać ze zwierzętami.

- Kiedy ja je chronię – mówi niepewnie Roman.

- Chroni? Niby przed kim?

- Przed wami.

- Dobrze sobie. To tylko zwierzęta! Niech pan sobie zapamięta, zwykłe, proste zwierzęta. Dajemy im jeść, dajemy im spać, a one dla nas pracują i muszą być posłuszne. A jak przestają pracować, to się ich pozbywamy. Czy to takie trudne do zrozumienia?

- Ale, one czują.

- To nie ma żadnego „ale”. Proszę, oto skierowanie na badania. - Wręcza mu pismo. -Na podstawie pańskiego odbiegającego od wszelkich norm zachowania, podjęliśmy z doktorem decyzję, by skierować pana do szpitala psychiatrycznego na obserwację.

- Z naszym doktorem? To przecież weterynarz – dziwi się Roman.

- Dość! Proszę wyjść.

- Ale moje psy?

- To nie pana psy. To psy państwowe. Proszę spakować swoje rzeczy i wyjść. Koledzy zawiozą pana na miejsce.

*

Siedzę na warsztatach literackich i patrzę na puste krzesło, na którym niegdyś siadywał Roman, poeta z cienia, z rogu sali, z wytartego, czarnego swetra. Poeta, którego jedynymi słowami są te, zapisane na kartkach szarego notesu. Zamykam na chwilę oczy i przypominam sobie, jak opowiedział mi swoją historię. O straży, o psach, o szpitalu, o rencie, o lękach, o przeprowadzce do Gliwic. A potem wracają wspomnienia z upadku Romana, którego byłem mimowolnym świadkiem. Wolne krzesło dręczy mnie. Jest, jak wyrzut sumienia.

Tydzień później zamiast na zajęcia, jadę na „bermudy”.



DWA

Nie odważyłem się zaparkować na Krzywej, preludium do gliwickiego Trójkąta Bermudzkiego. Postawiłem samochód niespełna sto metrów dalej, przy ładnym nowoczesnym osiedlu. Przez to granicę między współczesnością, a zacofaniem, przekroczyłem pieszo. Jest to jedna z tych granic, której istnienie nie budzi niczyjej wątpliwości i można jej doświadczyć wieloma zmysłami. Prosty, czysty chodnik ustępuje popękany płytom. Odnowione, jasne elewacje budynków kończą się jak wymierzone co do centymetra, a dalej już tylko wyszczerbiona cegła, poczerniałe okna, zielone lub czerwone parapety – choć kopalni ani huty nie ma w pobliżu od wczesnych lat dziewięćdziesiątych. Lekki miejski wietrzyk niknie na Krzywej, na której powietrze stoi, podtrzymując drobinki sadzy. Tutaj ludzie nagle zaczynają cię zauważać, bacznie obserwując zza ubrudzonych szyb.

Czy Roman sobie tego życzy? A może wyrzuci mnie za drzwi? Chciałbym, by wyrzucił. To by oznaczało, że jest z nim lepiej.

Zbliżam się do monopolowego, na skrzyżowaniu z Królową Jadwigą. Powietrze tężeje, jest jeszcze ciemniej. Pod sklepem zgrupowanie pijaczków. Jeden wychodzi mi naprzeciw.

- Pan kierownik da osiemdziesiąt groszy – łypie na mnie okiem młody chłopak o głosie siedemdziesięciolatka.

Przypominam sobie, jak siadywaliśmy na kawie po warsztatach poetyckich, a Roman opowiadał o swojej dzielnicy. Tutaj nie ma barów – mówił. – Tutaj pije się pod jedynym monopolowym, razem z ekspedientką. O tym akurat nie napisał wiersza, a szkoda.

Tymczasem chłopak czeka z wyciągniętą ręką. Daję mu złotówkę. On ulatnia się, a ja wodzę wzrokiem od adresu, do adresu. Jest ciemno choć dopiero osiemnasta.

Nigdy nie byłem u Romana. Zawsze spotykaliśmy się na mieście. Na warsztatach, po nich w kawiarni, przypadkiem w sklepie, w którym pracował w dobrych czasach, już po straży, a jeszcze przed szpitalem. Czasami nawet nic nie mówiliśmy. On już taki jest, jak wielki pies. Wystarczy, że jest obok, a czujesz się lepiej.

Ktoś szturcha mnie w ramię.

- Panie kierowniku, reszta.

To ten sam chłopak co przed chwilą. Wręcza mi dwadzieścia groszy, a ja robię chyba jakąś dziwną minę, bo on tłumaczy.

- Ja pana kierownika nie będę oszukiwał! Potrzebowałem osiemdziesiąt, jest osiemdziesiąt, reszta się należy.

Przyjmuję dwudziestogroszówkę z uśmiechem. Ośmielony, dopytuję.

- Jadwigi osiem, to gdzie?

- A za dwójeczkę zaprowadzę pana kierownika.

Transakcja zawarta. Idziemy. Mój nowy znajomy bezpiecznie prowadzi mnie przez grupkę swoich towarzyszy, z których każdy obdarowuje mnie nieprzychylnym spojrzeniem. Brniemy w „Królowej Jadwigi”. Znam te miejsca z wierszy Romana. Cały jego tom, opowiada o tych kilku przecnicach. „Jadwigi” jest nawet na okładce. A może to „Błogosławionego Czesława”? Lub „Świętej Anny”? Ulice rodem z czołówek kronik kryminalnych, w samym centrum Gliwic. Ulice, na których dzieje się poezja.



Stoję już przed drzwiami do familoka i próbuję uspokoić myśli. Nie wiem, jakich użyć argumentów. Nie mam planu. Liczę, że po prostu uda się wyciągnąć Romana z domu. Przewyciężyć załamanie. Wyrwać go ze wspomnień o straży granicznej, o psach. Wiem, jak bardzo potrafi zadomowić się w upadku.

W końcu wchodzę, a tam starowinka z wiadrem pełnym węgla. Znam ją! To bohaterka jednego z najbardziej przejmujących wierszy Romana. Dobry znak! Oczy mi się szklą, chwytam za rękojeść wiadra i proszę, by zaprowadziła mnie do niego.

Zatrzymuję się z palcem na dzwonku. Nacisnąć, czy nie? – toczę wewnętrzną walkę. Wtedy zaczynam zadawać sobie pytania. Kiedy właściwie poznałem jego historię? Jak to się stało, że zamieszkała we mnie? Skąd te wyrzuty sumienia? Obrazy z przeszłości same przepływają mi przed oczyma.



TRZY

Lato. Gliwice. Warsztaty odwołane. Idziemy na rynek, tam, gdzie dają pizzę w kawałkach i leją raciborskie z beczki. Reszta się wykrusza, zostaję sam z Romanem. Nie mówimy wiele. Patrę, jak wolno i metodycznie miesza piwo z sokiem. Dziwię się w myślach, że nie jest mu gorąco, w tym czarnym golfie. Po jakimś czasie cisza zaczyna mi przeszkadzać. Zagaduję.

- Pamiętasz, jak spotkaliśmy się w twoim sklepie?

Roman powoli kiwa głową.

- Mówiłeś, że kiedyś pracowałeś zupełnie gdzieś indziej.

- Przyjechałem do Gliwic ledwie parę lat temu.

- O, to ciekawe. A skąd?

- Lublin, Włodawa, Chełm, te rejony – odpowiada bez entuzjazmu.

- Fajne rejony, ładne.

- Poniekąd, ale nie chciałbym tam wracać.

- Przez pracę?

- Tak – ucina.

Odpuszczam. Na chwilę milkniemy. Gorąc, słońce rozpala twarze. I wtedy to.

- Ja tam ratowałem psy.

- Ratowałeś?

Odkładam kawałek pizzy i patrzę mu prosto w oczy. On kuli się. Wielka postać próbująca schować się za kuflem piwa.

- Spałem z nimi.

- W sensie w tym samym budynku?

- W klatkach.

- W klatkach?

Roman drażnąc ręką sięga po piwo, a potem wypłuwa słowa jedno po drugim. Mówi o tamtym poranku, kiedy jego wyrzucono do szpitala, a jego ukochaną, pocziwą sukę, uśpioną, do wykopanego dołu. Mówi o innych strażnikach, przekonanych, że tylko zadrzeczony pies będzie prawdziwie wierny. Że tylko wygłodniały i rozszoszczony pies będzie odpowiednio skuteczny podczas przygranicznych patroli. O sfrustrowanych mieszkańcach małych miejscowości lubiących przyłożyć zwierzakowi kijem. Był tam sam jeden, z początku idealista, walczący o zmianę, potem wytykane palcem pośmiewisko, a na końcu drażniący wrzód.

- Nie mogę znieść psiego szczekania, pisku, wiesz? – ciągnie.

A ja nie potrafię nic z siebie wydusić. Podchodzi kelner.

- Jeszcze coś dla panów?



Roman ze spuszczoną głową kręci przecząco. Przez jakiś czas siedzimy w napięciu niczym mumie. Ciekawość jednak wygrywa.

- I co dalej? Jak to się skończyło?

- Zdiagnozowali u mnie chorobę lękową. Uznali za niezdolnego do pracy w straży. Odprawili z rentą. Odseparowali od psiaków.

- I wyjechałeś?

- Nie mogłem tam zostać. To byli moi sąsiedzi albo sąsiedzi sąsiadów. Musiałem wyjechać. Tutaj znalazłem pracę. Tutaj mam spokój.

- Człowieku, musisz o tym pisać, opowiedzieć tę historię!

Podnosi kufel, który zatrzymuje w połowie drogi do ust. Rozmyśla chwilę.

- Nie powinienem pić, kręci mi się w głowie. Źle się czuję.

Odwożę go do domu. On żegna się niemrawo. Przez kilka chwil obserwuję, jak sunie w głąb „Królowej Jadwigi”.

Miesiąc później jego krzesło na zajęciach pozostaje puste. Dostaję tylko rozchwianego smsa z pomyłonymi literami: „Zwlnimi mnie, to kniec.” A następnie kolejnego: „Jestem w szpitalu, w Toszku”.



CZTERY

„Bo zabiorą cię do Toszka”. „Z Toszka cię wypuścili?”. „Co za banda debili, jak w Toszku” – podwórkowe wyzwiska z dzieciństwa, choć nikt z nas ani razu tam nie był.

A to całkiem przyjemne miasteczko, słynnemu dzięki szpitalowi psychiatrycznemu. Parkuję samochód, idę do sklepu, chwilę kręcę się po skwerku i patrzę w kierunku budynku szpitala z poczerńiałej cegły. Gdy wybija właściwa godzina, idę ku stróżówce. Tam tablica informacyjna z planem kompleksu. Budynek, który widać z ulicy to zaledwie jeden z szesnastu. Są rozsiane po parku. W jednym wracają do zdrowia niedoszłe samobójczynie, w drugim kobiety z depresją poporodową. Dalej, w głębi są zaburzenia i oddziały zamknięte.

Gdzie leży Roman? Pielęgniarka w okienku wskazuje najdalszy z pododdziałów, dla lękowców. Idę. Cegły dosłownie lecą na głowę. Wysokie, strzeliste okna, czarne, pordezewiałe kraty, wycięte balkony, po których zostały tylko kikuty stalowych prętów. I tak na każdym piętrze. A pod tym wszystkim zarośnięte chaszczami ławki i pacjenci w białych piżamach, z papierosami w ustach.

Odchodzę w głąb parku, trzymając się wydeptanej alejki. Na pobliskim drzewie jakaś tabliczka. To zalakowany obrazek na płycie kartonowej, przedstawiający krecika w swoim samochodziku, przemierzającego las. I podpis „piękno natury w służbie zdrowia psychicznego”. Kolory już dawno wypłowiły, rogi zgniły. Dalej jeszcze lepiej. Bolek i Lolek łapią motyle z przepalonymi papierosami skrzydełkami. „Z obserwacji natury płynie spokój i harmonia”, głosi motto. Jest jeszcze pszczołka Maja, Rumcajs itp.

Podchodzi do mnie łysy, niski facet.

- Nowy? Czy odwiedzinki?

- Ano odwiedzinki.

- Czyli fajki ma – wystawia otwartą dłoń.

Daję mu dwa papierosy i ruszam, a mój nowy znajomy krok za mną. Przechodzimy wzdłuż dwupiętrowego budynku z gęstym okratowaniem. Pierwsze okno otwarte, a zza niego dociera nieustający, przeciągły lament. Z kolejnego podobnie, choć tu da się usłyszeć płacz, któremu towarzyszy kaskada krzyków i jeszcze więcej lamentu. Przystaję.

- Hi hi hi, kolejny co myślał, że tak tylko w horrorach – podsumowuje mój cień, ćmiący fajkę.

- Przeróżające – wymyka mi się.

- To? Niiieeee, to jeszcze zupełnie nie. Ma jeszcze papieroski? – sprawdza, gdy stajemy przed drzwiami. Dla niego nie mam.

Schodami do góry, za wielkimi, czerwonymi strzałkami. Lament tężeje. Rozróżniam w nim zawodzenie, płacz, jęklivą mantrę. Dochodzę do pancernejszy śluzu. Naciskam dzwonek. W odpowiedzi trzaski w głośnika.

- Do kogo?

Mówię o Romanie. Minutę później wychodzi do mnie gruba pielęgniarka.

- Nie dawać kabli, sznurków, paska nie oddawać. Maksymalnie kwadrans – instruuje i prowadzi mnie do pomieszczenia rekreacyjnego, o czym informuje tabliczka nad wejściem.



Siadam przy plastikowym stole ogrodowym i patrzę na pobliską rozgrywkę karcianą. Zarośnięty chłopak trzyma karty tak mocno, że aż je gnie. Z ust cieknie mu ślina, wprost na te karty. Jego towarzysz głośno dyszy rzucając na środek stołu damkę. Trzeci, obserwator, śmieje się z jednego i drugiego, głośno komentując, kto komu zrobi dobrze wieczorem. Wtedy pielęgniarka wprowadza „mojego” gliwickiego poetę.

Rosła postać idzie ku mnie skurczona, w poplamionych spodniach dresowych, ze wzrokiem w klapkach „Kubota”. Wstaję na powitanie. Skóra na przedramieniu odkleja się od lepkiego z brudu stołu. Nie potrafię ukryć obrzydzenia.

- Jak miło, że przyszedłeś – zaczyna Roman. Wzrok ma mętny.

- Daj spokój, siedzisz tu już parę tygodni. Miałem wpaść wcześniej.

On po swoim macha ręką, tylko jakby w zwolnionym tempie.

- I tak jesteś pierwszy.

Ja czerwienieję i szybko sięgam po plecak. Wyciągam czekoladę, chipsy, jakiś sok i dwie paczki Marlboro. Widząc ostatni prezent, Roman promienieje.

- A więc możecie wychodzić? – zgaduję.

- Nie, ja nie. Ale na końcu korytarza jest palarnia. Wysiadujemy w niej całe dnie. Masz może ładowarkę?

Przypominam sobie zalecenia pielęgniarki.

- Mam – podaję mu cichaczem.

- Dobra, może nie skonfiskują. Tu chodzi o wieszanie się. Zabierają nam wszystkie dłuższe sznurki, bo ludzie potrafią nawet na klamce od drzwi.

- Acha – stwierdzam głupio, a potem szybko dodaję. - Naprawdę mi przykro, że jestem dopiero teraz.

- Wcześniej byśmy nie pogadali. Teraz mam leki i lekarze mówią, że jestem ustabilizowany. Już się nie boję. Nie słyszę szczekania.

Nie mam odwagi wspominać o psach.

- Czyli jest... lepiej? – słowo „dobrze” nie przechodzi mi przez usta.

- Jest dobrze – wyręcza mnie Roman. – Tylko praca. Nie wrócę już. Nie mam sił.

- Daj spokój, jesteś chory, przemęczony! W domu, odzyskasz energię.

- Czuję się wypalony. Na szczęście mam rentę – mówi do siebie.

Zapadnięta klatka, zmęczone oczy, spowolnione ruchy. Nawet szary notatnik z wierszami, gdzieś się zgubił.

- Piszesz?

- Nie, straciłem wenę. Mam pustkę w głowie.

- Koniec widzenia! – oznajmia pielęgniarka.



PIĘĆ

Właśnie dlatego tu jestem, przy tych drzwiach. Z palcem na dzwonku.

Po powrocie ze szpitala Roman zaszył się w domu. Wtedy, wracając z Toszka, okrężną drogą, byle wolniej i byle dalej, obiecałem sobie, że pomogę. Dzwonię.

Pierwszy, drugi, trzeci brzęk. Już mam zamiar zawrócić, już odwracam się na pięcie, gdy słyszę chrobot zamka. W drzwiach staje Roman. Czarne sztruksy, czarny golf. Tak, jak zawsze.

- Cześć – mówię.

- Cześć – odpowiada i patrzy.

W jego wyczekującej postawie odbijam swoje lęki. Jeśli zapyta, po co przyszedłem, chyba ucieknę.

- Wejdiesz?

Na tę propozycję czekałem. Przytakuję z ulgą.

Już małego przedśionka widzę jego miejsce. Stół, otwarty laptop, notes, ołówek, drukarka, paczka fajek. Tuż przy balkonie, tym z wierszy, z którego widzi okolicę.

- Widzę, że jesteś w formie!

- Tak jakby – ucieka wzrokiem. - Zrobić ci herbatę?

W pokoju zaduch i półmrok. Siadam w wytartym fotelu ze szklanką i zagaduję.

- Poznałem twoją sąsiadkę, tą od wiader. Bardzo miła pani. Tak jak i ty, pomogłem jej z węglem. Poczułem się, jak podmiot liryczny.

- To biedna kobieta. Schorowana – mówi, zajmując miejsce przy biurku.

- A skoro już mówimy o chorobach, to jak się czujesz? Minęło już chyba ładnych parę tygodni – dopytuję.

- Pięć – stwierdza po krótkim namyśle.

- I jak jest?

- Jest stabilnie.

Stabilnie – szpitalne słowo. Dążenie do utopijnej stabilizacji. Gorący Earl Grey dodaje mi sił. Spoglądam na zegarek, za pół godziny warsztaty.

- To chyba dobrze, nie?

- Tak jakby.

- I piszesz – wskazuję na stół.

- A tam – macha ręką. – Takie tam, próby.

- Przeczytaj coś, proszę.

Bierze do ręki notes. Kryguje się. A ja parzę sobie język herbatą. Śmiejemy się. Coś pęka między nami. Roman wybiera wiersz.



*jam jest burmistrz
zatęchłej klatki schodowej
daj jeść babo
sztuńce i młotek
podaj*

wyzwiska warczą

cichną nieszczęśliwości

*drzemią pogrzebane psy
tam odór zgnilizny
zwiastuje nowe*

O mało nie zjadam torebki z herbatą. Wstaję szybko. Podchodzę do Romana, zabieram mu wiersze, zabieram papierosy, wrzucam do jego torby, leżącej na blacie.

- Chodź, idziemy na warsztaty, tam to przeczytasz.

- Ale.

- Podwiozę cię, zdążymy – prowadzę go do sieni.

- Ale, nie wiem – słyszę, jak duka, zakładając kurtkę.

W końcu łapię jego wzrok:

- Brakuje nam ciebie.

To go przełamuje. Wychodzimy. W aucie puszcza muzykę. Światła tętniącego życiem centrum zlewają się pod wpływem prędkości.

Na miejscu brawa i uściski bez końca.

*jakże spać w mieście
gdzie po pierzyną
powiek cisza żyje
ledwie chwil parę*

Tak rodzą się tomy poetyckie. W tym przypadku „Miasta światła”. Mam jeden egzemplarz, choć nie zdradzę, z jaką dedykacją.

